Nr. 5. We Lwowie dnia 30. stycznia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

OSTATNI ROMANTYK.

Rok 1897. pamiętny będzie w dziejach piśmiennictwa polskiego, jako data zagaśnięcia ostatniej gwiazdy romantyzmu, zapalonego potężnym duchem Mickiewicza.

Przed paru miesiącami zgasł ostatni z wielkich poetów owych czasów, na wiejskim cmentarzu w Pawłowie spoczęły czcigodne zwłoki Kornela Ujejskiego.

Smutny był obraz tego zapóźnionego promienia, odstrzelonego na długość kilkudziesięciu lat od swego rodzimego ogniska, płonącego już bardziej we własnem wnętrzu, niż potężną pieśnią przemawiającego do swego narodu.

Niegdyś naród słuchał go z odkrytą głową, z zapartym tchem w piersi.

Czasy się zmieniły, zmienili się ludzie.

W gorączkowym pośpiechu dobiegającego schyłku lat naszego stulecia słychać już zapowiedne szmery, które w przyszłym wieku przeważnie brzmieć będą; nadzieje i prace porywają nas ku tej przyszłości, mniej wabi nas pieśń lub skarga, a w mesjanizm wierzyć przestaliśmy.

A wszakże może nigdy bardziej, niż dziś, w tej gorączkowej, chorobliwej, majaczącej chwili, kiedy chwiejąca się przeszłość ze świtem wschodzącego dnia za bary się bierze i zmaga — nigdy bardziej nie potrzebowaliśmy grzmiących ust proroka, potężnego głosu spiżu, któryby czerpiąc z miłości i prawdy, wołał na nas: „Prostujcie ścieżki!“ i modlił się za nami: „Przyjdź królestwo Boże!“

Daleko pozostał ów czas naszych proroków, ostatni z nich odszedł już od nas. Milczącego i cichego zwróciliśmy ziemi rodzinnej; a gdy znikąd jeszcze głos równie potężny nie przemawia do nas, dobrze jest wśród wrzawy obecnej doby uciszyć się i chwilą wspomnienia w echa wsłuchać się dawne, w myśli wskrzesić olbrzyma uczuć, olbrzyma narodowego bolu i nieugiętego prawdy narodowej rzecznika.

Postać to bowiem wielka; współcześni, śpiewając jego pieśni, przeszli mimo, nie oddawszy mu należytej czci i uwagi, lecz przyjdzie czas i znajdzie się ręka, co wzniosłe rysy jego ducha wiernie wyrzeźbi i narodowi we właściwem świetle ukaże.

Biograficzne dane, nieraz ważną odgrywające rolę w historji kształtowania się charakteru i psychicznych dróg jednostki, w ocenie psychiki ostatniego romantyka niewielkie mają znaczenie. Był to jednolity, niezłomny duch, tak zwarty w sobie i tak niezmienny, iż zewnętrzne wypadki wpływu wielkiego mieć nań nie mogły. Szczególniejszej uwagi zatem poświęcać im nie będziemy, o tyle jedynie, aby świadomość losów bliższym nam uczyniła człowieka, którego pamięci te kilka chwil poświęcamy.

Kornel Ujejski urodził się w 1823 r., zatem w epoce, kiedy gwiazda Mickiewicza najżywszym blaskiem jaśnieć poczynała.

Nauki szkolne pobierał w Buczaczu, na uniwersytet zaś uczęszczał we Lwowie. W 1847 r. wyjechał na lat kilka do Paryża, gdzie wówczas gromadziło się wszystko, co było najświetniejszego i najżywotniejszego w kraju, kędy rzec można, przeniósł się punkt ciężkości umysłowości i prac narodu polskiego, gdzie emigracja snuła swoją działalność, a poezja promienistem słońcem jaśniała.

Wróciwszy do kraju Ujejski ożenił się i osiadł na wsi, zrazu w Pawłowie, potem w Podlipcach i Zubrzy. Po owdowieniu powrócił znów do ulubionego Pawłowa, gdzie się osiedlił u syna. I tu życia dokonał, jak wiadomo, 19. września zeszłego roku. Przez czas krótki był posłem do Rady państwa, niebawem jednak opuścił Koło polskie, gdy zaszły znane zatargi o słowiańskie ziemie Hercogowiny i Bośnji.

Za młodu w domu swoich rodziców widywał często ludzi takiego pokroju jak Wincenty Pol, Borkowski, Bielowski. Rozmowy, jakie wiodły się u rodzinnego stołu, musiały z wczesnych dni zaprawiać umysł młodzieńca do poważnego poglądu na świat i sprawy ojczyste, a dusza jego gorąca po swojemu przerabiać musiała usłyszane myśli i sądy. Jak dalece był zapaleńcem, świadczy krótka wzmianka samego poety, kiedy wspomina, że złowiony kędyś tom Słowackiego, jak wiemy, wielkim mirem u współczesnych nie cieszącego się, porywał go tak bardzo, iż biegł z nim w głusz leśną, aby całymi dniami napawać się nim bez przeszkody.

Odtąd Słowacki stał się dla młodzieńca ideałem, a chęć poznania go najgorętszem tajonem marzeniem. Wkrótce potem zapoznał się z Wincentym Polem i pierwsze niemal słowa, jakie do niego zwrócił, było to pytanie o Słowackiego. Ale Pol niechętnie przyjął to zainteresowanie się młodzieńca. „Naród nie lubi negacji— rzekł wówczas — nie przyzna się do niej nigdy“. Odpowiedź ta, potępiająca ideały uwielbianego mistrza, tak dalece ubodła młodzieńca, iż, jak powiada: „przyszedłszy do niego (t. j. do Pola) ze czcią i miłością, odszedłem smutny i zrażony“.

Kiedy wreszcie nastąpiło poznanie ze Słowackim w Paryżu, musiało uwielbienie młodzieńca przemówić żywo i zgodnie z jego charakterem, otwarcie. Słowacki odpowiedział na nie również żywą sympatją, odczuwszy zapewne w młodym poecie pokrewnego sobie przekonaniami i wielkością ducha. Wyraził to w wierszu, gdzie w mistycznym obrazie chodzącego za panią swoją baranka, przedstawił pokorne oddanie się wielkiego ducha w służby potężnej władczyni — idei.

Z tym wyraźnie już zaznaczonym kierunkiem przekonań i sympatji młodzieniec obracając się w Paryżu wśród ludzi podobnegoż nastroju, a otoczonych do tego nimbem sławy i miłości całego narodu, musiał mocniej jeszcze utrwalić się w swych przekonaniach, lub powiedzmy, otrzymać dla swych przekonań niejako chrzest duchowy, który wiarę młodzieńczą utwierdził w nim i poświęcił, czyniąc go na całe życie sługą tej wiary i jej kapłanem. „Jestem prawie jak kapłan“ — wyraził się w jednem ze swych wspaniałych przemówień publicznych. I kapłaństwu temu nie sprzeniewierzył się do tchu ostatniego.

Żaden z naszych wielkich poetów, nie wyłączając nawet Mickiewicza, nie był tak jednolitym, tak niepodzielnym w swych uczuciach dla kraju, jak Ujeski. Duch jego, to całkowita, niekrusząca się, z jednej bryły granitu wyciosana piramida, podnóżem o ziemię rodzinną wsparta, szczytem wystrzelona w niebiosa. Nikt bardziej nie był naszym grzmiącym prorokiem, naszym Jeremim w pokutny wór odzianym, krwawemi od łez oczyma w chmurne niebiosa wpatrzonym. Żaden dźwięk inny z ust jego nie wyszedł nad jęk bolu, nad okrzyk zgrozy lub łkanie miłości — dla kraju, nad krajem, za kraj.

A nie było to uczucie nawiane skądściś, gogące w dni płomiennej młodości, blaknące z powolniejszem tętnem krwi — owszem, od lat najwcześniejszych do ostatnich chwil późnego wieku duch to zawsze niezachwiany, nigdy w najmniejszej cząstce nie zapierający się siebie, nie błąkający się, choćby urywkowo, po drogach uczuć innych, lub choćby przelotnych zbłąkań.

Powołanie poety — polskiego mianowicie poety — rozumiał Ujejski jako namaszczone posłannictwo, któremu nigdy w żadnym razie sprzeniewierzyć się nie wolno, posłannictwo to stawiąc wybrańca na czele narodu, wkłada nań zarówno obowiązek służby publicznej, jak i wyrzeczenia się wszystkiego, coby obowiązkiem tym zachwiać mogło. Względy osobiste, pragnienia samolubnych porywów nie powinny nęcić wieszcza-kapłana; nietylko wyrzec się ich musi, lecz nawet ust własnych strzedz winien, aby w chwilach zwątpienia i osobistego cierpienia jakie niebaczne nie wymknęło się z nich słowo.

(C. d. n.). *W. Dalecka.*

PANIENKA.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

Nie podnosząc oczu, przyspieszonym głosem powiedziała, po co przyszła.

— Miejsca szukam. Umiem mało, wymagania mam bardzo skromne, chciałabym tylko znaleźć się w domu uczciwym, wśród zacnych ludzi — dodała z naciskiem, chociaż sama nie wiedziała, dlaczego.

Koniecka wydawała jej się coraz wstrętniejszą.

— Kantoru już nie utrzymuję — odrzekła słodko — ale mam rozległe stosunki i chętnie przyjdę pani z pomocą. Biedne dziewczątko — dodała jakby do siebie — młodziutkie, śliczne, a taką ciężką pracę sobie obiera! Nauczycielstwo — ciernista droga! Kaprysy matek i dzieci, a potem choroba i śmierć z nędzy! Znam ja to! setki nauczycielek przeszło przez moje ręce! Biedaczki, żałowały nieraz, że poszły tą drogą, ale już po niewczasie... gdy zmarnowały młodość i urodę!

Stasia zerwała się z kanapy. Gospodyni zatrzymała ją za rękę.

— Niech pani poczeka, mam właśnie na widoku miejsce bardzo odpowiednie... mój dobry znajomy szuka towarzyszki do swej kuzynki, być może, że na lato zagranicę wyjadą... zrobi pani przyjemną podróż...

— Kiedy ja chcę być nauczycielką...

Koniecka rozparta w fotelu uśmiechała się z politowaniem.

— Uparty dzieciak z pani! Niech tam, zobaczymy, może znajdę dobre miejsce do dzieci! Mam słabość do ładnych panienek, a pani jest bardzo ładna, nawet w tym pensjonarskim kapelusiku... Gdy się przystroimy nieco... będziemy strasznie chłopakom głowy zawracać!

Zmrużywszy oczy kręciła zwolna głową, nasycając się treścią swych słów nader pochlebnych.

Staśka miała łzy w oczach; ściskała mocno parasolkę w spotniałej rączce.

— Dziękuję pani, już ja sobie sama miejsca poszukam...

— Nie bądź pani dzieckiem, przyjdź dziś do mnie wieczorem... zabawisz się trochę i o miejscu pogadamy.

— Staśka wybiegła z salonu; w przedpokoju natknęła się na łysego mężczyznę w rozpiętej koszuli, który syknął wślad za nią „a to także dopiero“, a Koniecka wyszedłszy za nią do pokoju zakonkludowała.

— Głupia dziewczyna!

Staśka biegła przez podwórze jak nieprzytomna.

W bramie stróż domu i dwie kumoszki wybuchnęły rubasznym śmiechem.

— Od Konieckiej! dalibóg! Smarkata, ledwie od ziemi odrosła, a to Sodoma i Gomora Aaa!

Przebiegła koło nich, wypadła na ulicę, w uszach jej wciąż brzmiał śmiech i brutalne słowa zasłyszane w bramie.

— Jak ja nizko upadłam! — szeptała, lecąc bez celu, byleby jak najprędzej uciec od tej zgari, która pewno stoi tam przed bramą i palcami na nią wskazuje.

Zadyszana, zmęczona wpadła do Saskiego ogrodu, przysiadła na ławce pod drzewem.

— Teraz to już chyba umrę ze wstydu!

Na twarzy, na rękach czuła jakby ślady rybich oczu Konieckiej, uniosła coś z sobą z tego nikczemnego otoczenia, śmiech z bramy brzęczał jej wciąż koło uszu.

— Oh, teraz to już chyba umrę?

Oparła się plecami o drzewo.

Osłabła z głodu i gorąca.

Dla ciotki Tekli był to bodaj najszczęśliwszy dzień w życiu.

Wróciwszy do roboty, cały czas uśmiechała się błogo, dziatwie i każdej z sióstr pokazała już śliczną nagrodę, ale nie zdążyła jeszcze podziękować Panience Najświętszej.

Biegając z głównego gmachu na folwark, spoglądała załzawionym wzrokiem na figurę Matki Boskiej w niebieskim płaszczu, z aureolą złocistych gwiazd nad głową.

Modlitwę szczerą, gorącą odkładała na szarą godzinę, kiedy wszystko ucichnie, a ona będzie mogła w spokoju przypaść do Niej, aby Przenajświętsze Stopy łzami wdzięczności oblać.

Tymczasem tylko wzdychała radośnie, ocierając łzy rękawem.

Teraz gdyby nawet Bóg śmierć zesłał, umarłaby spokojnie.

Chciałaby jeszcze doczekać, jak Staśka sama na siebie pracować zacznie, zobaczyć ją szanowaną, cenioną w pańskiem otoczeniu, jak należało edukowanej panience.

Cud Boży nad sierotą! z takiej to biedy, z takiej nędzy wyszło.

Ojciec, woźny w biurze, umarł na suchoty; matka szyła po domach, aż zapracowała się na śmierć, a dziewczynka sama jedna została na świecie.

Ileż to takich sierotek przez jej ręce przeszło tu, w tym Bożym domu.

Wszystkie w świat poszły, krzywdy nie mają, ale zawsze nie to, co jej „Panienka!“

Słońce zachodziło, ruch w domu ustał.

Ciotka Tekla po całodziennem dreptaniu przysiadła na ławce w korytarzu, dłonie na kolanach oparła — kości bolą!

Pierwszy raz w życiu przypomniała sobie, że jest starą. Sześćdziesiątka dobiega. Jeszcze ze dwa latka i koniec!

Wpatrzyła się w klomb roślin, z pośród których widniała gwiaździsta aureola, a jednocześnie ujrzała Staśkę, idącą od bramy.

Zerwała się na równe nogi.

„Panienka“ pewno z dobrą nowiną przychodzi Zapóźno trochę, dzisiejszy dzień to przecież święto dla nich obydwóch.

Podreptała na jej spotkanie; spotkały się przy figurze.

— No, cóż tam, gadaj, znowu Bóg wszechmocny łaskę ci zsyła, co?

Usiadły na ławce.

— Masz szczęście, dziewczyno! Ale pamiętaj, że to tylko szczęście, nie twoje zasługi. Są lepsze, a tyś tylko szczęśliwsza...

Ujęła jej głowę w obie dłonie i pocałowała w czoło gorąco.

— Panienko moja! — szepnęła z miłością. — Do Łaszczów jedziesz, co?

Stasia potrząsła głową przecząco: kręciła w palcach koniec fartuszka, łza za łzą spływały po twarzy.

— Ciociu, ja tu zostanę — szepnęła cichutko.

Podniosła oczy na figurę Matki Boskiej w złotej aureoli.

— Jakto? tu, dziecko, mieszkać nie możesz, a ciotka Magda, cóż?...

— Ja tu zostanę, ciociu, tu będę pracować...

— Ty? taka delikatna? Eh, siły nie potemu! — kiwała głową w białym kornecie. — Tu... trzeba tak kochać Boga, żeby aż o sobie zapomnieć... zupełnie! Od rana do wieczora ani jednej myśli nie mieć dla siebie... ani jednej!... Ja trzydzieści lat już służę biednym... chowam sieroty... bo ja nic więcej na świecie robić nie mogę... nie umiem! Ale ty... z taką edukacją...

— Ja tu zostanę, ciociu — powtarzała przez łzy dziewczyna — może się przydam... spróbójcie!

Ciotka patrzała na nią zdziwiona.

Milczały obie.

A Matka Boża wsłuchiwała się w ich myśli i uczucia.

— Byłaś u ciotki Magdy?

— Nie.

— A jadłaś co dzisiaj?

Milczała.

— Głodna! od rana! I to tego dnia kiedy dostała pierwszą nagrodę! Bodajże cię!... No, chodź, przenocujesz u nas, a jutro z rana pójdziemy do pani hrabiny.

Osloja.

Jubileusz.

(Ciąg dalszy.)

Wróciłem. Zdawało mi się wtedy, że się przedemną szerokie pole pracy i zasług otwiera. Zastałem w mieście całą gromadę kolegów, tych samych, którzy w uniwersytecie pomagali mi ludzkość zbawiać i Europę przebudowywać od fundamentów. Im jeszcze paliły się głowy do tego przedsięwzięcia: — mnie też. — Ach! jakie to były piękne wrażenia, jaka wzniosła przyjaźń. Razem wyekspensowaliśmy dużo pięknych słów w kawiarni przy lichem piwie, bo na wino nie starczyło.

Mnie się zdawało, że coś jakby dzień nowy świtać zaczyna i że ja jak skowronek, brzask jego powitam. Przyjaciele podtrzymywali mnie w przekonaniu, wierzyli w mój talent, polegali na mnie.

Założyliśmy nowe pismo. Nam się zdawało, że publiczność tylko czeka na nie i każdy ma jakiś fundusz odłożony na poparcie młodych talentów, które nowe prawdy głosić zaczną. Ktoś tam dał pieniądze, ktoś inny firmę, a wszyscy zaczęliśmy pisać i mówić, mówić i pisać. Lwia część pracy na mnie przypadła, ja miałem najtęższe w bryłę świata wymierzać ciosy, ażeby ją pchnąć tam, gdzie nam się podobało. „Będziesz wielki, będziesz sławny“ podniecali mnie koledzy, a byli i tacy, co mi już wtedy tej przyszłej wielkości zazdrościli.

Pracowałem z wytrwałością wołu — z zapałem męczennika. Zarobiłem też niedługo wieniec męczeński

Że się na moją głowę posypały łajania i klątwy — to nic. Że mnie nazwano zarozumialcem, pyszałkiem, nieukiem, bezbożnikiem, to bagatela. Wiedziałem, że mam walczyć, więc wiedziałem, że będę miał nieprzyjaciół. Stokroć gorsze to, co mi przyjaciele zrobili. Jam się nie zląkł klątw i nahajek, ale oni zlękli się koleżeństwa z wyklinanym i bitym.

Kiedy z zapałem, podniesionym głosem, czytałem im piorunujące moje odezwy, przyklaskiwali; gdy słowa moje doszły do czytelników i wywołały burzę, wtedy zaczynali mnie strofować: „Nie jesteś dość zręczny.“ „Można to wszystko powiedzieć, ale w innym tonie“. „Czemuż myśli swe w taką rażącą ubierasz formę?“ itp. Niejeden z nich lękał się po prostu o swą pozycję towarzyską, o utratę salonowych sukcesów, o to wreszcie, że mu kto podpisu na weksel odmówi. U wielu marzenia przedsiębiorców brały górę nad apostolskim zapałem, chodziło im o zdobywanie prenumeratorów, o pomnożenie numerów. Gucio kochany ten, co dziś tak pięknie do mnie mówił, drżał o swe redaktorskie stanowisko. Dziwna rzecz, ja co miałem wtedy już żonę i dzieci, ja co całe dnie i noce poświęcałem dla jednego tylko pisma, com je pracą swoją podtrzymywał, pisząc, nie myślałem nawet o tem, że mógłbym ten kawałek chleba utracić. Przelewałem swoją duszę na papier, nie myślałem o reszcie. Dostarczałem wszystkiego, czego potrzebowano: Nowelki, obrazki dramatyczne, felietony, rozprawy, wierszyki, byłem bajecznie wszechstronny. Tak się zapomniałem w pracy, że nie spostrzegłem, jak w koło mnie zrobiła się pustka. Dopiero, gdy coraz częściej zwracano mi moje prace z żądaniem poprawek, gdy je odrzucano, przerabiano, obcinano, skracano, ocknąłem się.

Gniewałem się i godziłem, prosiłem i groziłem, nareszcie było mi tego zanadto. Zapytałem wprost: „Czy nie chcecie mej pracy?“ Odpowiedziano mi dwuznacznie, wymijająco: „Czasem, czemu nie? przecież nie wszystko ci się równie dobrze napisać uda; jak będzie trzeba, to się zgłosimy; poczekaj.“ Dowiedziałem się potem, że między innemi obliczono moje zarobki i oceniono, że w stosunku do pożytku, jaki przynoszę, kosztuję za wiele.

Ha! może to i lepiej, żem się wydobył z dziennikarskiego deptaka, że samodzielnie

będę mógł pracować. Na razie było trudno ze mną, ale cierpliwości! Tu przecież jest coś! wołałem i zabrałem się do pracy twórczej.

Wystawiono mój pierwszy dramat. Zainteresowanie było wielkie, publiczność była wzruszona, grzmiącemi oklaski autora obdarzono. Krytycy nie zostawili na nim suchej nitki. Moi towarzysze od zbawiania świata i przebudowywania Europy przyznali mi trochę talentu, ale wydobyli na jaw tyle usterek, że ostateczny wniosek wypadł prawie taki sam, jak w innych pismach. Autor zdolny — ale dramat bez wartości.

Potem w rozmowach prywatnych tłumaczyli się i usiłowali nakłonić mnie do rezygnacji: „Toć przecie nie myślałeś, że stworzyłeś arcydzieło".

— Można mieć zdolności — lecz nie koniecznie do pisania dramatów Wiadomo, że to najtrudniejszy rodzaj

Najlepiej rzecz wyjaśnił zawsze nieporównany Gucio:

— Przez przyjaźń dla ciebie, nie mogłem narażać pisma.

Łysy literat, słysząc swoje imię, szybkim ruchem podniósł głowę i rzucił:

— Ja tego nie powiedziałem.

Henryk niedbale machnął ręką.

— Przypuśćmy, dziś nie masz się czego bać, ja ci już procesu nie wytoczę. Dziś ja już nikomu o swoją krzywdę upominać się nie będę, ale wtedy gorycz straszna zalała mi serce. Praca moich bezsennych nocy, moje marzenie, ach! i podstawa mego bytu stracona. R o d z i n n e m i a s t o dostało mój dramat darmo (znowu patrjotyzm lokalny), gdzieindziej po takich krytykach już go grać nie chciano. Dramat wrócił do teki. Miałem jeszcze powieść w zapasie Podzieliła losy dramatu. Naiwny! wydałem ją własnym nakładem, tj. za pożyczone pieniądze, spodziewając się grubych zysków. Dziś ta powieść doczekała się już trzeciego wydania, wtedy zaległa półki księgarskie na lat 7. Księgarze nie mieli w jej rozpowszechnianiu wielkiego interesu. Z miejscowych pism jedne ubiły ją milczeniem, inne poświęciły jej niechętne wzmianki — w naszem, — w mojem niegdyś piśmie znalazło się parę słów protekcjonalnych, jakgdyby o wypracowaniu trzecio klasisty. Później dowiedziałem się dopiero, że po kilku latach w zamiejscowych dziennikach pochlebne zamieszczono recenzje, że czytelnicy zainteresowali się nią, że stworzyła mi ona pewne, nieznane dla mnie kółko wielbicieli.

A tymczasem życie moje było ciężkie — bardzo ciężkie.

Luźne artykuły, drobne korespondencje, do zamiejscowych posyłane dzienników, przynosiły zaledwie tyle, że czasem i za własne pieniądze można było jeść obiad, lub kupić dzieciom trzewiki. Zresztą łatało się kredytem, ale i o ten było coraz trudniej.

Dawni przyjaciele moi odsunęli się odemnie. Było im to potrzebne, było nawet bardzo dla nich korzystne. Każdy starał się jakąś zrobić karjerę i każdy zaczynał od tego, że się wszelkiej ze mną solidarności wypierał. To zresztą pomagało. Jeśli tylko który z nich nazwał mnie radykałem, ultraczerwonym, przewrotowcem itp., to mu zaraz wybaczano wszystkie jego grzechy, wybaczano nawet, jeśli moje własne myśli, jako swoje wypowiadał Ach! ileż razy potem słyszałem i czytałem takie zdania: „Ja nie jestem tak krańcowy, jak np. Bojarski, ach, wcale tak daleko nie idę, ale sądzę, że każdy mi przyzna..." i potem następowała cała rozprawa żywcem z pod mego wykradziona pióra. Przyjaciele moi podzielili się moją szatą i stroili się w jej strzępki.

— To jest popularyzowali twoje idee — poprawił łysy Gucio.

— O nie, — to wcale tak nie jest. Ja ci nie robię zarzutów, ale ty też nie ubieraj się w pożyczane cnoty.

Bojarski zatrzymał się, popił kawy i mówił dalej:

Razem, zawsze razem! Hej! ramię do ramienia! Ruszaj się — bryło świata, a prędzej! a nuże! Prawdy, które ja wydobywałem z głębi serca jeszcze ciepłe od krwi mojej, wy podawaliście wystudzone, skrzepłe, zwietrzałe i wynosiliście na rynek Szczere złoto moich najświętszych przekonań zamienialiście na miedziaki i zaspakajaliście niemi swoje drobniutkie, codzienne potrzeby. Zamień sto-rublówkę na grube dziesiątki i powiedz mi, że mają wartość stu srebrnych rubli! To się nazywa to samo — ale tem samem nie jest. Zamień wykrzyk serca na frazes — prawdę na komunał Nikogo nie zbawisz, nie poprawisz, nie przekonasz, bo cię każdy powtórzy bezmyślnie. Wy nie wiedzieliście, że te gromy, co się na moją głowę sypały, popychały sprawę dalej naprzód — niż zdobycie kilkudziesięciu prenumeratorów — ale — mniejsza o to.

Jak wspomniałem, życie moje stawało się bardzo ciężkie.

Troska była moją nieustanną towarzyszką; w nocy budziła mnie ze snu, gdy pisałem, stawała przy mem biurku i zasłaniała oczy, słów własnysh odczytać nie mogłem. Siadała ze mną do stołu i ściskała mnie za gardło tak, że chleb powszedni mnie dławił. Czasem w głowie czułem taki zamęt, jak gdyby cztery wiatraki w niej turkotały. Jeden z nich mówił: „Czy masz pieniądze na jutrzejszy obiad", drugi: „zapłać komorne", trzeci: „krawiec się upomina", czwarty: „dzieci obdarte i bose". A ja wśród tego ściskałem mocno czaszkę obu rękami i usiłowałem przypomnieć sobie, jak to właściwie zapatrywałem się na ostatni dra-

mat Ibsena, co mnie oburzało — wczoraj — nie, przedwczoraj — kiedy to było? — ach! tak oburzała mnie jakaś krzywda i postanowiłem sobie napisać o tem, coś wstrząsającego — ale dzisiaj? Dzisiaj był chłopiec z rachunkiem, a potem żona wspomniała, że Adaś więcej kaszle, a ja właśnie — jak zwykle — nie mam ani grosza. Zapomniałem wszystkiego.

Z takich wrażeń składało się moje życie, dzień po dniu, godzina po godzinie.

(C. d. n.) *Moszczeńska.*

Świadomość narodowa u ludu.

(Ciąg dalszy).

Natomiast dobrobyt oparty na silnej idei państwowej bądź wcielonej, bądź spodziewającej się wcielenia, wytwarza tę pewność siebie, powagę osobistą i godność, które są nieodłączne od świadomości narodowej. Ten sam Moskal, padający na twarz przed carem, staje się butnym i wyniosłym tak w sferach własnych rodaków, jak jeszcze bardziej wobec cudzoziemców. Każdy już nie tylko Czarnogórzec, ale i wszelki inny Serb występuje codzień z taką powagą orjentalną nawet wobec Turka, jak gdyby sam trzymał przez pół tysiąca lat stopę swoją na karku jego, nie zaś odwrotnie. A ten sam Bułgar, który przed wyzwoleniem swojem w 1878 r. przy spotkaniu pierwszego lepszego agi tureckiego zeskakiwał z muła i bił mu czołem o ziemię, po pierwszych strzałach 1877 r. zjawił się w obozie cara, wchodził bez ceremonji do namiotu Aleksandra II-go, siadał obok niego i kładąc mu poufale rękę na kolanie, pozdrawiał patrjarchalnie:

— Kakwoś ty gospodaru, żywli zdraw?

* * *

Różnica między społeczeństwami, jak polskie lub chorwackie, a takiemi, jak serbskie lub bułgarskie polega dziś nie na przywilejach prawnych jednej klasy, lecz na antagonizmach kultury. Stanowisko dawniejszej szlachty w Polsce i Chorwacji zajęła tzw. inteligencja, a stanowisko o wiele jeszcze bardziej ekskluzywniejsze. Dawniejszy chłop i szlachcic lepiej się wzajem rozumieli u nas, niż dziś tenże chłop i człowiek inteligencji. W Bułgarji z głuchej pod Bałkanami wioski przychodził do Cankowa, Karawełowa lub Stambułowa chłop, siadał obok niego na sofie i najswobodniej w świecie rozprawiał z panem ministrem o najważniejszych kwestjach gospodarczych, społecznych i politycznych zupełnie tak samo, jak Maciek z Wojtkiem na Woli pod Krakowem lub p. Madejski z ministrem Bilińskim w Radzie państwa: jeden drugiego wybornie rozumiał. Dlaczego? Bo tenże Cankow, Karawełow, Stambułow wyszli z tegoż samego, co chłop, środowiska społecznego, religijnego, tradycyjnego i kulturalnego; mimo różnicy poziomu umysłowego — pozostała ta sama logika społeczno-szczepowa i te same uczucia. Każdy z tych panów dostojników wiedział doskonale, co jego interlokutor chciał lub nie chciał myśleć, lub czuć pod danym wyrazem.

Czy u nas to możliwe obecnie, skoro pod wyrazem p r a w d a, s p r a w i e d l i w o ś ć, t a l e n t, w i a r a, B ó g, n a r ó d, wręcz sprzeczne szykują pojęcia inteligent a chłop, nie wszyscy zaś wiedzą lub zdają sobie sprawę z istnienia tych różnic.

„Wy się wciąż jeszcze łudzicie — mówił do jednego z naszych wykształcony Sin-Hua-Szau sekretarz poselstwa chińskiego, będący zeszłego roku we Lwowie — że w waszem społeczeństwie istnieje jedna wiara i jeden kościół katolicki, gdy w rzeczywistości pod tą nazwą urzędową, — jak widzę — funkcjonują co najmniej trzy kościoły trzech religji zupełnie tak dalekich od siebie wzajem, jak u nas w Cinach Tao, Buddhy i Konfucjusza. Gdy patrzę na waszych bezwyznaniowców z ich etyką abstrakcyjną, obok menoteistów, deistów, heglistów lub innych katolików bodaj egzaltowanych lub racjonalizujących antropomorfizm religijny, jako tylko konieczność plastyczną dla idei Bóstwa, a obok nich te szare tłumy wiejskie i miejskie, poprzedzane na procesjach dziewczętami w bieli, recytującemi przepisaną liczbę pacierzy i zawieszającemi wota ofiarne na ciosanych z drzewa i niesionych przez nie różnych figurach pańcowych, gdy następnie podstawię każdemu z tych kultów odpowiednie nazwy chińskie, to mi się żywcem przypomina moralność filozoficzna mandarynów (zapewne także z bambusami w robocie), i monoteizm budaistyczny średnich klas państwa niebieskiego, i politeizm Tao szarawych jego tłumów z niezliczoną ilością ciosanych patronów oraz już bardziej ekonomiczną (boć i wyżej stoimy od was) instytucją młynków ręcznych lub wodnych do wyręczania ust ludzkich w funkcji likwidowania pewnych ilości pacierzy na rzecz bóstwa. Jeśli to prawda, co mi powiadano, — że jezuici wasi sprawiają w pewne dnie uczty świeckie a na nich biesiady filozoficzno-religijne dla waszych liberalnych piśmienników młodych, czyli — jak ich nazywacie — akademików, a jednocześnie urządzają oddzielne dla głów warkoczowych i niewarkoczowych

rekolekcje ascetyczne, to znów nabożeństwa z całą wspaniałością obrzędowości katolickiej ze świecami woskowemi, lub — gdy zajdzie potrzeba — z płomykami gazowymi, nie zazapominając nawet o kunszcie należytego trefienia włosów przy posągach świętych: jeżeli jezuici nie tylko dla warstw oddzielnych, ale dla każdego niemal ich odłamu kształcą osobnych propagatorów-kapłanów i specjalnych oratorów, a kontrolę każdej duszy warkoczowej i niewarkoczowej, błądzącej po ziemi waszej, prowadzą tak dokładnie, jak kolegjum cesarskie w Pekinie ostatni egzamin państwowy na mandaryna o guziku błękitnym iż gdy skończę mówić do Waszej Wielmożności brata starszego już oni wiedzieć będą — ile wyrazów słyszał od brata młodszego; jezuici, przed których rozumem i odwagą użycia środków działania robota socjalistów jest nędzną fuszerką tandeciarską, — oni jedni — nie mówię, oczywiście, o żydach, — najwcześniej zrozumieli i ocenili u was faktyczność a doniosłość podobnych powyższym różnic kultury klasowej, świeckiej i religijnej i dla tego — obok żydów — muszą posiadać u was wpływ największy w społeczeństwie.

Dostojny Sin-Hua-Szau użył zapewne wyrażenia „świeckiej i religijnej“ chyba tylko przez wzgląd na stanowisko swego interlokutora polskiego, stanowiska pismienników. Różniczkowanie takie u nas nie wszędzie zrozumiałe. Któż wskaże, gdzie jest granica czynników świeckich a religijnych u takiej np. pokojówki lub kucharki lwowskiej, radzącej się sennika egipskiego dla loterji liczbowej, lub obowiązkowo raz na tydzień czy miesiąc udającej się po poradę do jednej z niezliczonego legionu kabalarek i wróżbitek, których biura liczniej są uczęszczane, niż wszystkie biura rządowe, nie wyłączając podatkowych?

Natomiast gdzieindziej różnice u nas zachodzą tak daleko, że obok dwoistej literatury dla ludu i inteligencji, oddzielne warstwy, koterje, zajęcia, fachy, posiadają oddzielne żargony, mało co zrozumialsze jeden drugiemuż, niż w Chinach, gdzie np. szewcy lub krawcy uczyć się muszą języka ogrodników lub keramików porcelany — aby ich zrozumieć, a jedni drudzy języka rządu i mandarynów.

(Dok. nast.) *Ew—an.*

T. KORZON.

WEWNĘTRZNE DZIEJE POLSKI

za Stanisława Augusta.

(T. V. Warszawa 1898 r.)

W tomie piątym poświęcił autor uwagę rządowi z doby sejmu czteroletniego, który skutkiem zniesienia departamentu wojskowego i rady nieustającej (1788—1789) uległ przeistoczeniom. Ponieważ rada nieustająca uważana była za powolne narzędzie w rękach Stackelberga, przeto zniesienie jej stało się znamieniem upadku stronnictwa rosyjsko-królewskiego i pierwszym aktem wyzwolenia się z pod obcej gwarancji. Radę nieustającą zastąpiła utworzona „Straż“, która jako władza centralna stanęła na czele wszystkich instytucij administracyjnych.

„Straż“ nie była bynajmniej miniaturą sejmu, ani składała się z trzech stanów. Oprócz prymasa, ewentualnie następcy tronu, składała się z ministrów w liczbie pięciu i z marszałka sejmowego, nie mogła więc używać takiej powagi, jak dawniejsze rady senatu. Członkami „Straży“ byli niby współpracownicy króla, doradcy korony, a w intytulacji pism urzędowych nakazaną była arynga: „Król w straży“. Król o jednomyślność w „Straży“ dbał mało: wezwał też tylko dwóch ministrów z większości sejmowej, a trzech ze stronnictwa rosyjskiego; co jednak jest zdumiewającem, to fakt, że „Straż“ nie posiadała wcale reprezentanta armji w swym składzie i w chwili zaczęcia wojny obowiązki „ministra belli“ spadły na Ignacego Potockiego, człowieka znakomitego, lecz wojskowości obcego.

Następnie skreślił autor wyczerpujący obraz działalności komisji skarbowych, litewskiej, koronnej i obojga narodów. Oficjaliści skarbowi na Litwie popełniali wciąż nadużycia, komisja litewska grzeszyła opieszałością, a w skarbie litewskim brakowało zaraz w r. 1782 3 miljonów zł. do zapłaty wojska. Do otwartej w r. 1790 komisji skarbowej obojga narodów wstąpił Czacki i w opracowanym przez siebie regulaminie, dążył do zcentralizowania funkcji skarbowych i do zaprowadzenia ścisłej kontroli za pomocą ksiąg, troistych protokołów i konduit-listy. Liczne dowody przekonywują, że komisja skarbowa O. N. przejęta była temiż wyobrażeniami i uczuciami, jakie ożywiały posłów sejmu czteroletniego ze stronnictwa reformy, i że służyła sejmowi z widocznem przejęciem się nietylko w sprawach czysto finansowych, ale wojskowych i politycznych. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że zarząd skarbowy w dobie sejmu wielkiego doszedł do największej dokładności i sumienności, jaka kiedykolwiek, a przynajmniej w ciągu ostatnich lat półtorasta, była w Polsce praktykowana. Oficjaliści skarbowi pełnili podczas wojny 1792 r. swe czyn-

ności z poświęceniem się i gorliwością, ratowali do ostatka dla kasy jeneralnej wszelki grosz i w rzeczy samej uratowali go sporo, a w dodatku w smutnej gospodarce skarbowej Targowicy nie chcieli wziąć udziału.

Pierwsze posiedzenie komisji wojska rzeczypospolitej obojga narodów odbyło się w d. 21-ym grudnia 1798-go r. Nowe ministerjum wojny składało się w dwóch trzecich z osób stanu cywilnego. Oprócz hetmana, który nie zawsze prezydował, wchodziło do komisji tylko ośmiu wojskowych. Do wykonywania prac specjalnych, jak np. regulaminu jazdy i piechoty, do formacji, ewolucji, manewrów komisja nie znajdowała sił dostatecznych we własnem gronie i musiała używać wojskowych z szeregów. Nawet przy pomocy postronnych współpracowników, nie ufa sobie tak dalece, że uznała raz za stosowne odwołać się do całej powszechności. Pod względem skłonności politycznych i wartości obywatelskiej skład komisji nie był wolnym od licznych zarzutów. Bułhakow w r. 1792 wspominał o pogłoskach, że komisja jest zaprzedana Rosji i że z tego powodu ma być zmieniona, ale sam tych podejrzeń nie potwierdza.

Praca nad utworzeniem armji zaczęła się od poszukiwania broni. Komisja wojskowa zabierała się do tego dzieła opieszale i doczekała się napomnienia od marszałków sejmowych w roku 1789. Wreszcie nowe zaciągi otrzymały oczekiwane karabinki, ale tylko w zakresie etatu tymczasowego (65.000), zapasów zaś nie przygotowano żadnych, nawet na dokompletowanie 100-tysięcznego etatu. Armaty przed r. 1791 sprowadzono z zagranicy, potem zadawalano się armatami własnej ludwisarni warszawskiej, zostającej pod umiejętną i gorliwą dyrekcją Wągrowskiego. Amunicji w prochowni znajdowało się w lipcu 1788 r. zaledwie 6.909 funtów prochu, a cyfra powyższa w listopadzie 1790 r. urosła do 394.242 funtów. Nadto w Samsonowie funkcjonowała już od r. 1789 fabryka bomb, kuli i kartaczy.

Po dworach magnackich znajdowały się armaty w naturze, jak np. w Lubartowie u Sanguszkowej lub w Nieświeżu u Karola Radziwiłła, gdzie się 106 dział znajdowało. Wszystkie te armaty w czasie wojny 1792 r. były oddane rzeczypospolitej, lecz skutkiem niefortunnych działań wojennych dostały się w ręce nieprzyjaciela. Z wielkim oporem szła sprawa poboru i utrzymanie rekruta. W r 1790 liczba głów armji wynosiła najwyżej 56.000, a brak funduszów w skarbie stawiał dekompletowaniu etatu 65.000 nieprzezwyciężone przeszkody. Niewątpliwie winną była komisja, że nie dopilnowała skompletowania korpusów ludźmi i końmi, których Polska dostarczała naówczas remontjerom pruskim i francuskim. Za odpowiednie nominacje wyższych oficerów nie odpowiada wszelako, albowiem te udzielane były zazwyczaj przez króla w izbie sejmowej, na skutek rekomendacji, wnoszonych przez posłów lub senatorów.

Do najpomyślniejszych dla wojska wypadków zalicza autor lustrację wielu oddziałów, wykonaną przez Rzewuskiego. Rzecz szczególna, że najsurowszy raport Rzewuskiego dotknął Kościuszkę z powodu nieporządnego przemarszu artylerji z Warszawy na Wołyń. Woźnice byli pijani, kilka koni padło skutkiem złego dozoru i szybkiej jazdy, a w przejściu przez Galicję armaty przez całą noc leżały poprzewracane na ziemi, ku zgorszeniu Austrjaków. Umundurowanie i zaopatrzenie wojska we wszelkie rekwizyty odbywało się oszczędnie i porządnie od czasu, gdy ustanowiony został komisarjat pod kierunkiem dzielnego pułkownika Cichockiego. Był to rzeczywisty talent, dostępny wszystkim pomysłom i teorjom sztuki wojskowej, który odebrał staranne wychowanie w Dreznie, a Brühl, jenerał-artylerji, dał mu gruntowne wykształcenie wojskowe.

Zabierając się do ćwiczenia wojska w mustrze i manewrach, komisja próbowała naprzód sama poprawiać dawny regulamin z 1786 r., ale, nie ufając swym własnym zdolnościom, zleciła tę pracę delegacji, z oficerów znakomitych złożonej, która potrafiła stworzyć dzieło znaczniejszej, praktycznej wartości. Najpoważniejszą atoli i najpożyteczniejszą nowością dla wojska polskiego było obozowanie i manewry obozowe. Na jesieni 1791 r. zarządzone były wielkie manewry w trzech obozach: pod Gołębiem i Bracławiem dla wojska koronnego, a pod Mińskiem dla wojska litewskiego Od czasów Sobieskiego nie widział Polak swej siły zbrojnej, poruszającej się długiemi szeregami, bijącej ziemię tysiącami kopyt jazdy i huczącej baterjami dział. To też zapowiedziane manewry ściągały mnóstwo ciekawych widzów i zainteresowały szczerze całe obywatelstwo. Na owych wielkich manewrach, piechota sprawiła zadziwienie oficerów zagranicznych, jazda okazała się mniej wyrobioną i zręczną, ale za to artylerja pozyskała najlepszą sławę celnością strzałów. (Dok. n.)

(„Kurjer Warszawski“.) *A. Rembowski.*

Wiadomości bibljograficzne.

Ruchliwa firma wydawnicza K. Grendyszyńskiego w Petersburgu wypuściła w świat cały szereg nowości, w tej liczbie 2-tomowe dzieło P. Chmielowskiego „Nasza literatura dramatyczna“, które autor nazwał „szkicami“, zajmująca praca dr. Antoniego Karbowiaka: „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich“, część I. od r. 966 do r. 1363; Leona Dembowskiego „Moje wspomnienia“, tom drugi, dotyczący wojny r. 1830; Wincentego Zakrzewskiego „Historja starożytna w zarysie“ w wydaniu nowem, niezmienionem i „Historja wieków średnich w zarysie“, w wydaniu drugiem, poprawionem; powieść współczesna Marjana Jasieńczyka „W Wielgiem“, drukowana w „Bibljotece Warszawskiej“.

Z drukarni Z Golloba.